



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.



uszę też opowiedzieć panu Adamowi, jaką zabawną sprzeczkę dziś miałam z naszą kucharką Janową. Niech pan sobie wyobrazi, ona utrzymuje, że jaskółki przebywają całą zimę w wodzie, a na wiosnę wydobywają się z niej, wyfruwają na świat Boży — tak mówiła Helenka po przywitaniu z sędziwym przyjacielem.

— Dawniej i mędrsi ludzie od Janowej tak sądzili — odpowiedział p. Adam — ponieważ dużo zwierząt i owadów przesypia rzeczywiście zimę, więc wyobrażano sobie powszechnie, że i jaskółki sadowią się na taki sen zimowy w różnych kryjówkach, wreszcie w wodzie. Dziś wiemy, że ptaki odlatują na zimę

do cieplejszych krajów, a jednak w tem podaniu o śnie jaskółek, jak w ogóle we wszystkich prawie podaniach ludowych, jest odrobina prawdy.

— Jakto? — zawołał Wacław zdziwiony, jakże to w takiej niemądrej bajce może być chociażby odrobina prawdy?

— Oto tak, że jeżeli jaskółki nie usypiają wszystkie gromadnie na zimę, to przecież czasem, wyjątkowo, zdarzać się to może. Bociany mają okrutny zwyczaj mordowania braci swoich słabszych, starych lub okaleczonych, którzy nie są w stanie odbyć wędrówki zimowej i mogliby w drodze zginąć. Może zresztą robią to przez litość nad temi osłabionymi bocianami, żeby się długo nie męczyły.

— Niedobre bocianiska — rzekła Helenka ze współczuciem — chorych i kałeki pielęgnuje się troskliwie, ale nie dobija.

— Ha! zapewne, tak bywa u ludzi, ale bociany nie umieją urządzać szpitali dla swoich chorych, po swojemu więc załatwiają się z nimi. Ale powróćmy do jaskółek. Te widocznie tkliwsze mają serduszka, bo nie widziano, by mordowały słabsze siostry przed odlotem. To też te biedaczki, które czują, że nie będą miały sił przelecieć tak znacznej przestrzeni i morze przepłynąć, zostają u nas na zimę. Niektóre zapewne giną z głodu i zimna, lecz były przykłady, że znajdowano wśród zimy jaskółki uspione w szczelinach skał lub dziuplach drzew. Świadczą o tem najwiarogodniejsi ludzie i wnoszą ztąd, że Opatrzność w rzeczy samą obdarzyła te ptaszyny zdolnością usypiania na zimę. Taki sen zimowy ma to do siebie, że pogrążone w nim zwierzęta przez cały czas, póki trwa zimno, nie przebudzają się wcale i jeść nie potrzebują.

— Wiem, wiem — mówiła Helenka — toż niedźwiedzie podobno wylazły na wiosnę ze swoich kryjówek wychu-

dzone i wymizerowane okropnie. Ale żeby ptaszki mogły tak zasypiać...

— To też i dziś jeszcze przyrodnicy nie zupełnie temu dowierzają. Niedawno jednakże w czasopismach francuzkich naukowych było opisane ciekawe zdarzenie, które zdaje się to przypuszczenie potwierdzać. W Październiku roku ubiegłego pewien wieśniak, jadąc, uderzył przypadkiem batem przelatującą jaskółkę, a ta padła na ziemię, jakby bez życia. Żył jednak, dzieci ją podniosły, utuliły, owinęły w watę i ułożyły w koszyczku. Lecz dzieci te były roztargnione, jak to nieraz bywa, zapomniały o biednej jaskółce i przez dni kilka do niej nie zaglądały. Gdy potem w końcu zajrzały, sądziły, że zginęła, bo leżała zupełnie bez ruchu, jak martwa. Był tam jednak ktoś starszy i roztropniejszy, ten ze zdziwieniem spostrzegł, że ptaszyna żyje, lecz wygląda zupełnie, jakby w letargu pogrążona. Zaniesiono ją do jednego uczonego przyrodnika, który jaskółkę rozbudził. Stwierdzono jednak przy tej sposobności, że sen jój był niezwykajnie głęboki, letargiczny, a gdyby nie była przebudzona, prawdopodobnie mogłaby tak i całą zimę przespać, jak przespała dni kilka, bez pożywienia.

— Patrzcież państwo! — odezwał się Wacław — kto by się spodziewał, że i Janowej zdarzy się czasem powiedzieć coś do rzeczy. A ja sądziłem, że ten sen jaskółek nie ma najmniejszego sensu.

— Jest w przyrodzie mnóstwo cudów jeszcze niedoścignionych — rzekł p. Adam — zwłaszcza obyczaje ptaków, owadów, które podpatrzeć bardzo trudno, nastroczają niustannie przedmiot do ciekawych spostrzeżeń i odkryć. Instykt zwierzęcy bywa czasem prawdziwie cudowny. Czy wiecie np., jak sobie radzą robaki ziemne, ażeby podczas mrozów nie zamarznąć?

— Tego to i ja nie wiem naprawdę — rzekł Wacław — chociaż uczyłem się zoologii dosyć szczegółowo.

— O! Wacławowi się zdaje, że jak on czego nie wie, to już osobliwość — wtrąciła Helenka — niby ja się także nie uczyłam zoologii.

— Trudno wszystkie szczegóły najdrobniejsze w zoologii pomieścić — mówił p. Adam — na toby najgrubszych tomów nie starczyło.

— Ale niechże p. Adam już powie wreszcie, co robaki z sobą robią na zimę — spytała Heleka — bo przecież nie mogą do cieplejszych krajów wywędrować, podróż trwałaby zadługo, wybraawszy się w drogę na jesieni, możeby i do wiosny nie dowlokły się na miejsce.

— To też one lepszy mają rozum, zamiast podróżować po powierzchni ziemi, zapuszczają się w jej wnętrze, a wiadomo, że w pewnej głębokości pod ziemią ciepło jest przez cały rok okrągły, mróz tam nie dochodzi.

— Ktoby to pomyślał, że taki robak, co nie ma, ani głowy, ani mózgu, ani rozumu, tak sobie radzić potrafi — mówiła Helenka.

— A że też taki robak tem miękkim swoim cielskiem wkopuje się w twardy grunt; to doprawdy rzecz niepojęta — zauważył Wacław.

— O, robaki ziemne, to grabarze, jakich mało. Czy przyszyłoby wam na myśl, że one nadzwyczaj wielkie usługi wyświadczają rolnikom, uprawiają najdoskonalej ziemię, przekopując ją, wzruszając, a wreszcie przerabiając w cieple swoim. One bowiem przełykają ziemię i rozmiękczonej

w swem wnętrzu na powrót wyrzucają. Pewien uczony człowiek napisał o tem całą grubą książkę i ze zdziwieniem dowiedziano się, że taka nędzna, pogardzana istota, jak robak ziemny, znakomite znaczenie ma w ustroju świata. Robak ziemny czyli dżdżownik niezbyt ładnie wygląda, trudno się dziwić, że widok jego wstręt budzi; najlepszym jest jednak przykładem tego, jak to pozory mylą. Ciało jego, z licznych obrączek złożone, ma tę właściwość, że płynie w niem krew czerwona.

— Nie wiedziałam o tem — rzekła Helenka — a toż chyba jedyny wyjątek pomiędzy owadami, bo żaden owad krwi czerwonej nie ma.

— Pomiedzy owadami! winszuję — wtrącił Wacław z uśmiechem nieco szyderskim — jak to się panny zoologii uczą uważnie, robaki zaliczają do owadów.

— Ach! pomyliłam się, a ty zaraz chwytasz za słówka. Tak trudno te klasyfikacje spamiętać. Ja najczęściej zapominam, że pająki, robaki, stonogi, nie należą do owadów. Jabym to wszystko razem i ryczałtem nazwała robactwem, byłoby najwłaściwiej. Ale bądź spokojny, dobrze rozumiem jakie są cechy prawdziwych owadów: sześć nówek, ciało na trzy części główne rozdzielone, przemiany. O robakach wiem, że się nazywają bezkręgowcami, przemian nie odbywają, biedne stworzenia nie mają ani oczu, ani uszu, więc nie widzą i nie słyszą.

— Ba! możnaby z równą słusnością powiedzieć, że nie chodzą, bo nie mają nóg; jednak robaki bez nóg szybko biegają, a prawdopodobnie i widzą bez oczu, gdyż za zbliżeniem płomienia okazują wzruszenie i uciekają.

— To rzecz dziwna! Jakże one widzieć mogą?

— Domyślają się przyrodnicy, że ciało ich całe lub przednia część jego posiada wrażliwość na światło, która u zwierząt doskonałszych skupia się wyłącznie w źrenicy oczu. Robaki dżdżowniki są bardzo niewybredne w jedzeniu; niesłusznie je oskarżają nieświadomi o zrzadzanie szkód w polu przez podgryzanie korzenków roślin; one tego nie robią, poprzestają na liściach przegniłych i innych szczątkach roślinnych. Bardzo zgrabnie wciągają te zapasy żywności do swoich nor podziemnych.

— Czy i ziemię także jedzą? — spytała Helenka — mówił p. Adam, że ją przetrawiają i wyrzucają.

— Ziemi właściwie nie jedzą, lecz mają taki sposób wciskania się w grunt, że pochłaniają ziemię po drodze małutkim pyszczkiem. Zwykle tam znajdują odrobiny szczątków roślinnych, te im służą za pokarm, ziemię zaś odrzucają drugim końcem walcowatego swego ciała. Łatwo sobie wyobrazić, jak owo niustanne przeciskanie ziemi przez takie cieniutkie rurczki rozmiękcza ją i spulchnia. Podobny to zupełnie skutek wywiera, jakgdyby ją kto przez sito przesiewał. To też bardzo niemądre robią ludzie na wsi, gdy te pożyteczne choć niepiękne robaki zabijają.

— Bo któżby się tego po nich spodziewał? — rzekła Helenka — takie to paskudztwo. Muszę te ciekawe rzeczy opowiedzieć ogrodnikowi babuni, on tak niemiłosiernie zawsze morduje te nieszczęśliwe robaki, że aż mi ich żal było, choć nie lubiłam na nie patrzeć.

— Wartoby temu ogrodnikowi opowiedzieć, jakie doświadczenie urządził pewien uczony z owemi niepięknymi dżdżownikami. Nasypał pełną doniczkę mokrego piasku, zwierzchu to pokrył liśćmi i wpuścił tam do środka parę

dżdżowników. Pracowite stworzenia natychmiast rozpoczęły rolnicze swoje roboty, powciągały liście w głąb doniczki, przełykały je wraz z piaskiem i urobioną w żołądku mieszaninę wyrzucały na powierzchnię. I nigdybyście nie odgadli, co się stało: po upływie sześciu tygodni, nie więcej, piasek w doniczce pokrył się warstewką próchnicy, czyli ziemi rodzajnej, tworzącej się w przyrodzie z przegniłych szczątków roślinnych. Warstewka była nawet dość spora, miała cały centymetr grubości.

— Jakież to ciekawe! — zawołała Helenka — jak będę latem na wsi u babuni, rozpowiem to wszystkim ogrodnikom i poproszę ich, żeby nie mordowali robaków ziemnych.

— Ależ to byłby dobry sposób użyźniania piaszczystych pustkowi, np. Sahary — odezwał się Wacław — tam zapewne niema robaków, ale możnaby nałapać ich wielkie mnóstwo i puścić w piaski; byłoby toż samo, co ten pan w swojej doniczce urządził. Ze też to jeszcze ludziom do głowy nie przyszło.

— Na nieszczęście dowcipny twój pomysł jest niewykonalny — odrzekł z uśmiechem p. Adam — bo dżdżowniki, jak to i nazwa ich wskazuje, nie mogą żyć bez deszczu, w bardzo suchych okolicach nigdzie nie przebywają. Dosyć one i tak pożytku przynoszą; wszak te ustawiczne ich wędrówki z góry na dół, to przesiewanie ziemi, lepiej ziemię urabia, jak pługi i sochy. Najpierw ją rozdrabiają, potem głębsze warstwy wydobywają i na wierzch wyrzucają, a tu działanie powietrza, tak zwane wietszenie, także dobroczynny wpływ na ziemię wywiera. Według obliczenia przyrodników, na jednym hektarze kwadratowym (hektar mieści w sobie sto metrów), ziemi zwyczajnej, na polu, żyje przeszło 50,000 dżdżowników, a po ogrodach daleko więcej, bo one wolą grunta spulchnione przez narzędzia rolnicze.

— A toż dopiero cierpliwości potrzeba było, żeby to obrzydliwe robactwo tak dokładnie policzyć! — zawołał Wacław — czegożbo to ci uczeni nie dokażą; liczą gwiazdy na niebie, liczą robaki w ziemi, nic się przed nimi nie utai.

— Na wyspie Madagaskarze widziano olbrzymie dżdżowniki, mające około metra długości i grubość stosunkową — rzekł p. Adam — te z nadzwyczajną szybkością przesypują ziemię i ślady ich roboty są bardzo widoczne.

— Cóż to za potworne robaczyska! — zawołała Helenka — już żebym tam nie wiem jak była przekonana o ich pożyteczności, to przecież nie wzięłabym takiej obrzydliwości w rękę. Brr!

— A pocóż je brać w rękę? — rzekł sędziwy profesor z uśmiechem — wątpię, aby to im sprawiło przyjemność.

— Zawsze jednak innym okiem odtąd będę patrzyła na robaki ziemne — mówiła Helenka.

M. J. Z.

## Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Wszelki duch Pana Boga chwali! Czy ci ludzie potracili zmysły, czy, nie szanując Adwentu, już bawią się w maskary?

Ani jedno, ani drugie, ale przy nadchodzących Świętach, królowa ze swoim dworem ubiera „Jasełka.”

Cóż to za pyszna zabawa! Pełna zabiegów i gorączki, bo wszystkie kościoły Krakowskie szykują takie widowiska, wszyscy mieszkańcy miasta przesadzają się w ich przystrajaniu, a królowa postanowiła, że Jasełka w Katedrze Wawelskiej muszą być najpiękniejsze, i pewnie słowa jej się sprawdzą, bo nie szczędzi starań ani kosztu; już od całych miesięcy u biegłych snycerzy zamówiła posagi drewniane mające przedstawić Boskie Dzieciątka i Jego Matkę, Świętego Józefa co stoi pod kominem, Pasterzy i Trzech Króli, Heroda ze Śmiercią, i cały chór Aniołów. Wszystkim tym osobkom ślicznie pomalowano twarze i ubrania, wedle których teraz panie przykrawają i szyją drugie, prawdziwe ubiory. A nie ladajakie one będą: księżna Kinga na ich sporządzenie oddaje własne zasoby; kazała pootwierać skrzynie, które są istnym skarbcem, bo z Węgier przywoziła cesarską wyprawę. Najpiękniejszą swoją suknię purpurową z perłami włożyła Najświętszej Pannie, dla Królów idą świetne lamy, aksamity, kosztowne pióra, wszystkie zaś owe gwiazdy i promienie są z prawdziwego złota; słowem, co się robi, to po królewsku.

W głębi sali, pod arabskim kobiercem, był duży stół hebanowy, perlową masą wysadzany, dziwną sztuką mogący się składać i rozkładać; księżna Kinga przywoziła go z wyprawą, jako pamiątkę po matce swojej, cesarzównie bizantyjskiej. Przy nim stały cztery krzesła tronowe, każde ze swoim stopniem i swoim baldachinem. Na jednym z krzesel pod ścianą siedziała księżna Grzymisława, matka panującego dziś księcia, wdowa po Leszku Białym, koronna różnemi koronami, bo i sama po śmierci mająca być wliczoną w szereg Błogosławionych, i szczęsna matka Salomei Świętej, i chlubna świewra Kingi beatyfikowanej. Ciężkimi dowiadzczeniami opłacić musiała na ziemi te niebieskie zaszczyty; podczas burzliwej małoletności syna, zacna regentka przeżyła wszelkie zgryzoty macierzyńskie, posunięte nawet w kilku chwilach do zupełnego męczeństwa; postawiona między dwoma opiekunami, Szlązkiem i Mazowieckim, długo umiała w dziwnej swojej roztropności trzymać z Henrykiem a nie obrażać Konrada; w końcu jednak przez nikczemną zdradę ułowiona, wpadła w zasadzki złego Mazowszanina, który ją po lochach więził i, o zgrozo! kazał przez różgi przepędzać.

Teraz szczęśliwsze chwile dla niej błysły; widziała na koniec syna panującego swobodnie, ożenionego tak świetnie, jak mało który monarcha w Europie, pełnemi dłońmi zbierała owoce wdzięczności synowskiej, bo też Bolesław tak ją czczył i kochał, że choć pełnoletni, jeszcze nic bez jej rady nie przedsiębrał, i to nie tylko dziś, ale do końca, przez szereg dwudziestu lat następnych, zawsze kazał na wszelkich aktach, na wszelkich przywilejach, kłaść imię matki obok swego.

Mogła więc w obecnej chwili uśmiechać się Grzymisława, ale był to uśmiech już zwarzony mrozami przeszłości. Niegdyśhoża i dorodna, jak zwykle Rusinki, w troskach, w torturach, przedwcześnie zwiędła; cera jej pożółkła, włosy podsiwiały, a choć pięćdziesięciu lat nie doszła, już wyglądała na matronę; strój wdowi, białe obwicie w około twarzy, jeszcze dodawały powagi.

Teraz, przymrużając obwisłe powieki, szyła czerwony kaftan dla Heroda, którego tułów nikczemnie walał się pod jej tronem, z głową na haczyku wiszącą.

Przy niej, w jednym z bocznych krzesel, siedziała księżna Kinga, przedstawiająca także, chociaż w ranniejszej godzinie życia, zjawisko przedwczesnej dojrzałości, bo niedawno szesnasty rok zaczęła, a już rozwinięciem umysłu mogła się równać z klerykami, nieugiętym hartem duszy mogła za wzór służyć rycerzom. Na dworze ojcowskim odebrała wychowanie, które nie tylko wtedy, ale i dziś jeszcze byłoby zadziwiające. Już w siódmym roku życia przydano jej za ochmistra sławnego z mądrości Mikołaja Mykła; ten kształcił ją we wszelkich naukach, i do języków jej rodzinnych, węgierskiego i greckiego, przydał wyborną znajomość łaciny,



Storezki zamorskie.

tak, że osobliwsza panienka — gdyby nie skromność—byłaby mogła dysputować z uczonymi w Bizancyum i w Rzymie. Ale królowa nie wdawała się w dysputy z nikim, tylko z samą sobą, z wszelkimi skłonnościami i pokusami, co mogły ją odwrócić od „królestwa nieumierającego”; a pokusy tych musiało nie brakować, bo ją Bóg obsypał tem wszystkiem, o co ludzie zwykli Go prosić. Piękność jej była tak słynną, że nawet dziejopisowie, najczęściej starzy nudziarze, nie mogli o niej zamilczeć. Nic dziwnego, wszak pochodziła z owjej ziemi węgierskiej, której córę, jedynym w dziejach zjawiskiem, połączyły w sobie wdzięki i turańskich i aryjskich plemion; a przytem Kunegunda, przez matkę idąca z Laskarysów, miała i niektóre uroki Greczynek, zwłaszcza owe ogromne, według wyrażenia Homera „wołowe” oczy

Junony, których mimowolną dumę usiłowała przyćmić pokorą rzęs wiecznie spuszczonej. Cera jej była smągła, równa, zwykle bez rumieńców, tylko gdzieniegdzie zabarwione gałązkami karmazynowych żyłek; usta koralowe ale wąskie, objawiały istotę nie smakującą w żadnych słodyczach ziemi. Na jej włosach czarnych jak węgiel, oprawiających lica w dwie żałobne opaski, przylegał rodzaj mycki jedwabnej, otoczonej niskim, szerokolistnym dyademem. Stanik grono-stajowy rysował jej wcięta kibić; także futro obiegało u dołu suknię szytą z ciężkiej materyi żółtej w złote kwiaty, na której wstrzemięźliwa pani żadnych nie rozwiesiła klejnotów, oprócz grubego różańca z przydyminoych topazów. Gronostajem także był podbity płaszcz aksamitny, zrobiony tak zwaną „polską modą”, to jest szafirowy w złote gwiazdy.



Walka z orłem.

Właśnie ten płaszcz spuściła z ramion, aby wygodniej zająć się robotą. Przed nią, na hebanowym stole, jakby żywy stoi aniołek w niebieskim ornacie, z tęczowymi skrzydłami, zawzięcie wygrywający na skrzypczkach, szkoda tylko, że go nie słychać. Królowa układa dla niego wianuszek ze srebrnych stekrotek, i co chwila mu go przymierza. Wianuszek zawsze duży, spada aniołkowi na szyję, a wtedy pomimo wszelkich praw dworszczyzny i uszanowania, panielki wybuchają niepohamowanym chichotem, aż o dziwo! i sama Kinga zaczęła się śmiać srebrzyście.

Widok zaprawdę rzadki. Królową najczęściej widziano smętną i jakby spłoszoną; mogłoby być inaczej? Od dzieciństwa kochała się w ubóstwie, a musiała żyć na tronie, chciała zostać mniszką, a kazano jej przyjąć męża. Wpra-

wdzie z latami z żelazną wytrwałością potrafiła zwalczyć wszystkie przeszkody, zastosować los do swojej woli, ale dziś jeszcze nie znała przyszłości, i drżała jak osoba, co czuje, że na spadzistej drodze chybia powołaniu.

Jednak młodość ma swoje prawa; przy Jasełkach młodziuchna królowa zapomniała o surowych troskach, i rozweseliła się, jak proste dziewczę.

A wtedy cały dwór zajaśniał, jakby od wstającego słońca, i nawet księżna Grzymisława zaczęła sobie przypominać młode lata, kiedy to wyszywała ów sławny pas dla męża, a stary Goworek przyrównywał ją do Penelopy.

Przy monarchiniach, na niskich ławeczkach, siedziały mężatki, wszystkie w płaszczach, w herbownych sukniach, ołśniewające od klejnotów; starsze w białych zawiciach,

młodsze w płaskich czapeczkach nałożonych na lekką zasłonę; małżonki „komesów” i „baronów” miały w koło tych czapeczek cieniutkie korony, a raczej tylko prążki złote o różnej liczbie perłowych gałeczek, wedle dostojęstwa. Najbliższej królowej siedziała Elżbieta; Kinga, z przecuciem serc czystych, odgadła w niej odrazu duszę miłą niebu, i lubiła ją widzieć koło siebie. Żegnaniacka pani, zachowując zwykłą spokojność, była na dworze tak uśmiechnięta i swobodna, jak pod własnym dachem, a sławna jej biegłość w igle pozwałała jej teraz dzielnie się przyczyniać do ogólnej roboty, od której sala jakby szwalnia krawiecka była zasłana mnóstwem złotych, i bławatnych strzępków.

Między damami siedzieli i stali duchowni w czarnych, zielonych, a nawet i czerwonych ubiorach. Najbliższej królowej stał ksiądz Maciej, z różowym uśmiechem, z pięknymi jak widać na ustach słowami, bo królowa co chwila wdzięcznie przytakiwała głową, a księżna Grzymisława aż położyła robotę, aby lepiej słyszeć.

Wśród tych wszystkich osób, układnie siedzących lub stojących, dziwnie się odznaczała postać rozciągnięta na ziemi; był to pyszny młodzieniec, który przykląkł a raczej położył się fantazyjnie na kilku barwnych poduszkach; ta postawa, jakiejby sobie wobec panujących nikt inny nie pozwolił, jemu uchodziła. O! jemu wiele uchodziło, bo to był poeta, ukochany damom i rycerstwu, mistrz Gaudenty, ministrel od lat kilku bawiący przy dworze książąt Szląskich. Jak wszystko na tym dworze, mocno przesiałki niemczyzną, fanatycznie wielbił Minnesingerów, i trudno mu się dziwić, oni wtedy na świecie trzymali berło natchnienia. Sprawiedliwie jednak mierząc wyrazy, trzeba przyznać, że nie tyle był Niemcem ile kosmopolitą. Jeśli dla dworu księżny Jadwigi składał czasem „Liedy”, to dla uczonych umiał składać łacińskie leoniny, a ilekroć z długich swoich wędrówek wrócił nad Odrę lub Wisłę, lubił śpiewać w rodzinnej mowie, i niejedną polską piosnkę wynalazł, według skromnego wyrażenia ówczesnych poetów, którzy nazywali *sztuką wynajdowania* (l'art de trouver), co my chełpliwie nazywamy *tworzeniem*.

Może i w tej chwili znalazł jaką myśl szczęśliwą, bo milczał i dumal, podparłszy skroń białą ręką. Ubiór jego był obcisły, za to głowa suto wyglądała: ogromne pukle czarnych włosów spadały mu na ramiona, a z pod pukli obwisał rodzaj różowej pelerynki, powycinanej w długie wążutkie jęczyczki, z których każdy zakończył się srebrną kulką. Ubiór ten został później sponiewierany przez trefnisiów, ale wówczas był jeszcze rzadki i uchodził za sam kwiat dobrego smaku. Cudnież bo istotnie wyglądał mistrz Gaudenty, kiedy na idącym albo śpiewającym te wszystkie wstęgi chwiały się jakby skrzydła, a srebrne kulki dzwoniły, przegrывая jego złotym słowem. Nie była to jedyna przegrzywka; oto na piersiach ma opartą cytę, niewielki trójkąt z ośmiu strunami, na którym czasem roztargnioną ręką pobrząkuje, spoglądając to na siedzące damy, to na panienki skupione pod ścianami, a do których przyłączyło się kilkunastu młodzieńców, tak giermków jak rycerzy.

(d. c. n.)

## Storczyki zamorskie.

Niedawno opowiadaliśmy czytelnikom naszego pisma o pięknych storczykach zamorskich i podawaliśmy rysunek jednego z najosobliwszych gatunków. Jedyną wadą tych przepysznych kwiatów jest brak ozdobnych liści. Ogrodnicy jednak, układając bukiety ze storczyków, umieją zastąpić własne ich liście innymi, zwykle też używają do tego paproci. Rysunek nasz przedstawia właśnie taki bukiet: ułożony miernie ze storczyków, z dodatkiem różnych liści zielonych. Trzeba być bardzo bogatym, aby sobie pozwalać na takie ozdoby salonów, storczyki bowiem zamorskie należą do najkosztowniejszych kwiatów cieplarnianych. Możemy je po-

dzwiać na rysunku, a latem, jak łąki nasze okryją się kwiatami, przekonamy się, układając z nich bukiety, że i one mają swój wdzięk, milszy nawet dla nas, bo swoich.

## WALKA Z ORŁEM.

Orzeł mianowany jest królem ptaków, tak jak lew królem czworonogów. Obu też tym zwierzęcom królem przypisują ludzie wielką szlachetność, wspaniałomyślność, chociaż oni niebardzo na tę piękną sławę zasłużyli. Lew jest drapieżnikiem takim, jak wszystkie koty, a orzeł znów wcale nie ustępuje sokołom i innym ptakom, do rzędu drapieżnych zaliczonym. U nas rzadko kiedy spotkać go można, przebywa zazwyczaj w górach, na skałach wyniosłych ściele gniazdo. Zwłaszcza w porze, gdy potrzebuje wyżywić swoje potomstwo, orzeł chwytą wszelką zwierzynę, jaka mu wpadnie tylko w szpony. I trudno się temu dziwić, miłość rodzicielska nim powoduje.

Orły europejskie nie dochodzą takich rozmiarów, jak gatunki amerykańskie, a jednak są to bardzo potężne ptaki. Jak nie porywają jagnięta, koźleta, a bywały przykłady, że i na dzieci się rzucać odważały. Rysunek nasz nie jest fantastycznym zmyśleniem, wyobraża wypadek prawdziwy, który się wydarzył w Iliryi, górzystej krainie nad morzem Adryatyckiem. Dwaj chłopcy, jeden trzynasto, drugi ośmioletni, pilnowali bydła w dolinie; krowy i owce pasły się spokojnie, a oni zabawiali się rozmaicie. Starszy odszedł trochę dalej, gdy wtem nagle ogromny orzeł spuścił się z góry, potężnymi szponami pochwycił ośmioletniego malca i unosił w powietrze.

Możecie sobie wyobrazić przerażenie dziecka! Zaczęło krzyżeć przeraźliwie, starszy to usłyszał i nadbiegł natychmiast na ratunek brata. Porwał grubą kij i trzymając za ogon orła, który nie miał jeszcze czasu ze swym ciężarem podlecieć wysoko, okładał go razami. Uparty ptak nie dawał jednak za wygraną i niewiadomo na czemby się była skończyła ta osobliwa walka dwóch chłopców z drapieżnym ptakiem, gdy na szczęście nadbiegł starszy pastuch, zwabiony krzykiem, i pokonał skrzydatego napastnika. Był to orzeł olbrzymich prawdziwie rozmiarów, skrzydła jego miały jedenaście stóp długości. Po śmierci spotkał go ten zaszczyt, że się dostał do gabinetu zoologicznego wiedeńskiego. Wolałby on być zapewne zakończyć swój żywot w ustroniu górskim, nieznany ludziom, lecz zuchwalstwem wyniósł się na szerszą widownię świata, wślawił się w walce z dwoma chłopcami, przedstawionej na rysunku naszym i do dziś wspaniała postać budzi podziw osób, zwiedzających gabinet zoologiczny.

## PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Zresztą młodzieńcy nasi łatwo obejść się mogli bez psa. Co innego u nas w Europie, gdzie najlepszy strzelec nie zdołałby upatrzeć zdobyczy bez pomocy zmyślnego węża. W Ameryce, w dzikich puszczech, w owych dawnych czasach zwłaszcza, zwierzyno było takie mnóstwo, że nie potrzebowano jej tropić. Na wybrzeżach rzeki Ohio, czy to wśród gąszczów leśnych, czy na stepach odsłoniętych, uganiało mnóstwo zwierząt rozmaitych. Tam pasły się ogromnymi stadami piękne żubry amerykańskie, dziś już, jak

donoszą dzienniki, tak wytępione, że ostatnie nieliczne okazy poroższyano do ogrodów zoologicznych miejskich, aby choć tym sposobem pamięć po nich nie zaginęła. Po lasach znów w tej porze roku, w jesieni, włóczyły się niedźwiedzie, gotując się obfitem jadem do snu zimowego, w gąszczach kryły się jelenie, sarny, daniela, a wilki i inne drapieżne zwierzęta czatowały na nie po zacisznych zakątkach.

Pożegnanie młodych myśliwców z rodziną niedużo czasu zajęło, wysłuchawszy żartobliwej przestrogi p. Burtona, trzej chłopcy tem żwawiej pomknęli do lasu, że radzi nie radzi musieli o powrocie pamiętać. Skierowali się w stronę południową, tam bowiem ciągnął się las najpyszniejszy, a w nim pełno było wszelkiego rodzaju zwierza. Dzika ta puszcza rzadko kiedy dotknięta była stopą ludzką, a nie brakło w niej zakątów, gdzie nie zajrzał jeszcze nigdy, ani białe osadnik, ani Indyanin czerwonoskóry.

Ponieważ ścieżek żądnych nie było w tych gąszczach, więc trzej chłopcy szli obok siebie, a nie jeden za drugim, jak zwykli wędrować Indyanie. Tak im było wygodniej rozmawiać, bo nie przypuszczacie zapewne, ażeby chłopcy w tym wieku mogli się pozbawić wesołej i ożywionej gawędki. Starsi myśliwcy inaczejby postępowali. Najpierw zachowywaliby głębokie milczenie, ażeby zwierzyny nie płoszyć, potem, zapuszczywszy się w lasy, rozeszliby się w różne strony, oznaczając sobie miejsce schadzki na wieczór, a przez dzień każdy probowałby szczęścia na własną rękę.

Coprawda i chłopcy nasi zachowywali pewne ostrożności, stąpali cichutko po zeschniętych liściach, rozmawiali półgłosem i pilnie nasłuchiwali na wszystkie strony, najłżejszy szelest nie uszedł ich uwagi. Patrzali obojętnie na krajobraz, roztaczający się przed nimi, bo oczy ich nawykły do niego, a jednak był to widok wspaniały i uroczy. Drzewa, rosnące w lasach Ameryki północnej, czy to iglaste, czy liściaste, przypominają prawie wszystkie gatunki europejskie. Najpiękniejsze są lasy liściaste i taki właśnie przebywali nasi młodzi myśliwcy. Rozmaite drzewa, dęby, brzozy, jowory, klony i inne wznosiły się jedne obok drugich, lecz nasze europejskie tychże samych gatunków wyglądałyby na karły przy tych pniach okazałych, rozłożystych konarach i gałęziach bujnym liściem pokrytych.

W jesieni las taki amerykański jaśnieje przepyszniejszymi barwami swych liści. I u nas w Europie wędnące liście jesienne wyglądają niekiedy bardzo ozdobnie; zwłaszcza gdy przy żółtych ukazują się gdzieś odcienie czerwone. Czasem znów żyłki zabarwiają się inaczej lub na liściach bladozielonych rozsypią się plamki jaskrawe. Kwiatciarki umieją zreszcie naśladować te liście wędnące, a panie lubią je przypinać do kapeluszków, bo często ozdobniej wyglądają od zielonych i świeżych.

Lecz lasy nasze nie mogą nam dać nawet wyobrażenia o bogactwie i przepychu barw jesiennych w rozległych puszczech leśnych Ameryki północnej. Wszystkie odcienie złociste, purpurowe, pomarańczowe, tysiące blasków rozsiewają wśród liści, pokrywających drzewa lub unoszących się z powiewem wiatru po lesie. Nawet trawy i zioła mieniają się w sposób podobny. Ta gra barw czarujący widok przedstawia, szczególnie w początkach jesieni, gdy jeszcze większa część liści zielonością jaśnieje, a od tego tła odbijają inne jaskrawo zabarwione, tworząc jakieś ozdoby wspaniałe, okrążając drzewa jakby wieńcami ze złota i purpury, ujmując je w sploty bogate, lub spuszczając się aż do ziemi, jak powiewne wstęgi, w kwiciste wzory utkane. Zjawisko to przypisują przyrodnicy nagłej zmianie temperatury, tam bowiem w Ameryce północnej oziębienie jesienne szybko bardzo nastaje po letnich upałach, stąd liście wędną nagle i równie nagle barwę zmieniają.

Lecz wróćmy do naszych młodych wędrowców. Zrazu przechodzili wśród drzew o pniach wyniosłych, rosnących w pewnych odstępach od siebie, łatwo więc mogli iść razem wszyscy trzej, mieli zawsze dość miejsca i drogę otwartą przed sobą. Lecz dalej natrafili na gąszcze takie, gdzie odstęp między większymi pniami zarośnięte były niższe-

mi krzakami, często ciernistymi i musieli z trudnością się przez nie przedzierać. Tu już trzeba było postępować na sposób indyjski, a jak u nas mówią iść gęsiego, to jest pojedynczo jeden za drugim. Gęstwiny te bywają czasem tak zbite, że o dwa kroki przed sobą nic dojrzeć nie można, myśliwiec, tropiący zwierzynę, nieraz tż obok niej przechodzi i nie widzi ukrytego jelenia, a tem bardziej drobniejszej sztuki.

Oprócz drzew i krzewów, rośnie w takich gąszczach mnóstwo wątłych, wijących się roślin, w tej strefie, którą opisujemy, najwięcej napotkać można po lasach dzikiego wina. Cienkie pędy wyrastają wysoko, wspierając się na silniejszych pniach drzew olbrzymich i obejmując je giętkimi gałęziami, jakby siecią sznurów oplatają zarośla, które tym sposobem stają się nadzwyczaj trudne do przebycia. Nieraz wędrowiec posuwać się musi naprzód z siekierką lub nożem w rękę i rozcinać te sieci, zagrządzające mu drogę, jakby pułapki lub sidła.

I nasi chłopcy natrafili na takie miejsce, zapewne nigdy jeszcze nieknięte stopą ludzką. Nie sądźcie jednak, że zawrócili z drogi i poszukali wygodniejszego przejścia. O, nie, wiedzieli oni doskonale, że dzielny myśliwiec idzie zawsze naprzód, nie zważając na żadne przeszkody, chyba, że są rzeczywiście nie do pokonania. Pocóż każdy z nich miał zatkniętą za pasem siekierkę? W niedostępnych kryjówkach podobnych najwięcej zwierzyny zwykle szuka schronienia, miłośnicy łowów chętnie zapuszczają się w głąb takich niezbadanych leśnych otchłani.

Szli więc chłopcy powoli lecz śmiało, torując sobie przejście siekierkami, nieraz który z nich upadł, gdy mu się nogi splątały, lub potknęły pośród gęstwiny, było ztąd śmiechu niemało, a ten, kto kozła przewrócił, śmiał się najgłośniej i najserdeczniej. Po niejakiem czasie takiej uciążliwej przeprawy z przeszkodami, Janek, idący na przedzie, wykrzyknął nagle radośnie:

— Wiwat! Otwarta droga przed nami! Pyszna, szeroka ścieżka, jakby naumyślnie dla nas wycięta pomiędzy gęstwina.

— Co to być może? — pytał zdziwiony Wiluś — przecież niepodobna, aby nam kto taką niespodziankę naprawdę urządził.

— Bądź pewny, że nie dla nas ta droga była robiona — odrzekł Janek — ja wien, co to znaczy, zwierzęta, chodzące stadami, szczególnie żubry, wydeptują takie ścieżki po lasach; słyszałem to od ojca, powiem wam nawet, dlaczego to robią. Oto niezawodnie w tej stronie musi być „słona polanka”; żubry, jelenie i inne zwierzęta zbierają się tam i sól liżą, więc aby się łatwiej dostać na miejsce, urządziły sobie ten pyszny gościniec, który i nam bardzo się przyda.

Janek miał słuszość, w tej części Ameryki często napotkać można wśród lasów małe przestrzenie ogołoczone z drzew i wszelkiej roślinności, pokryte skorupą skrzepłej soli. Jest to pozostałość po słonych jeziorach, z których woda się ulotniła, a sól, osadzając się na dnie, pokryła ziemię. Zwierzęta, jak wiadomo, niezmiernie sól lubią, wynajdują więc takie miejsca, zwane przez osadników „słonemi polankami” i liżą owę skorupę solną, lub w braku jęj ziemię, solą przesiąkniętą. W niektórych polankach sól występuje jednak w ogromnej obfitości, można ją zbierać garściami, a tak jest czysta, że osadnicy używają jęj do użytku domowego.

— Teraz jestem pewny, że napotkamy zwierzynę — rzekł Janek z tryumfem — tą drogą muszą wędrować całe stada różnych czworonogów rogatych i nierogatych, będziemy mieli pyszne polowanie, dobrze się stało, żeśmy się puścili w tę stronę.

## IX.

### Żubry.

Raźniej i żwawiej pomknęli naprzód młodzi wędrowcy, szeroki gościniec, na inżynierską robotę wyglądający, cią-

gnął się w prostym kierunku przed nimi i końca jego dojrzeć nie mogli pośród rozległej gęstwiny leśnej.

— Słona polanka nie musi być blisko — zauważył Janek — bo ta droga widocznie ciągnie się na znacznej przestrzeni, co dla nas wybornie się składa.

— To jednak rzecz dziwna, że nie widać żadnej zwierzyny — zauważył Jurek.

A wtem, jakby na odpowiedź, w oddaleniu dał się słyszeć szelest niezwykły, niby łamiących się gałęzi, jednocześnie zaś w większej odległości, lecz z tój samej strony, dochodził głuchy odgłos, jakby tętent kopyt po twardym gruncie.

— Bacność! — ozwał się Janek, który jednogłownie, bez żadnych uprzednich układów, uznany był za wodza wyprawy i w każdej chwili ważniejszej dowództwo obejmował czynnie, nie trafiając nigdy, nietylko na opór najłżejszy, lecz nawet na zdziwienie kolegów, bo uważali to za rzecz zupełnie naturalną.

— Bacność! — wyrzekł tedy Janek półgłosem i zatrzymał się nagle, a towarzysze poszli za jego przykładem. Nie ulegało wątpliwości, że jakieś żyjące istoty, i to w znaczniejszej liczbie, zbliżały się do miejsca, gdzie się znajdowali obecnie młodzi myśliwcy. Z oddalonych odgłosów niepodobna było jednak odgadnąć, czy to stado zwierząt, czy Indyanie na koniach. Krajowcy amerykańscy nie znali wcale koni wówczas, gdy Hiszpanie po raz pierwszy wylądowali na ich ziemię i przywieźli z sobą wierzchowce swoje. Na widok jeźdźców, Indyanie przelekli się okropnie, bo wyobraźli sobie, że człowiek i zwierzę stanowi jedną istotę, podobną do owych mitologicznych centuarów, nawpół ludzi a na wpół czworonogów. Później jednak, gdy konie hiszpańskie, wypuszczone na swobodę, zdziczały i rozmnożyły się tak dalece, że ogromnemi stadami poczęły przebiegać stepy i puszcze, Indyanie nauczyli się łowić je, oswajając i polubili niezmiernie konną jazdę.

Młodzieńcy ucichli i z największą uwagą nasłuchiwali, podejrzane odgłosy zbliżały się ciągle. Nareszcie Janek śpiesznie, na palcach, w kilku susach przeskoczył ze ścieżki pomiędzy drzewa i dając w milczeniu znak towarzyszom, aby uczynili toż samo, stanął za grubym pniem, który go całkowicie zasłaniał. Jurek i Wiluś poszli natychmiast za jego przykładem. Tymczasem odgłos, który ich skłonił do bacności, stawał się coraz wyraźniejszy, teraz już łatwo było rozpoznać, że zwierzę jakieś przedzierało się przez gąszcze, stąpało ociężale, a oczywiście zmierzało w stronę, gdzie się znajdowali nasi młodzi myśliwi. Janek spojrział na Jurka ze znaczącym uśmiechem, tamten odpowiedział mu skinieniem głowy, a i Wiluś wychylił głowę ze swego ukrycia i porozumiewająco spojrział na obu towarzyszy. Wszyscy trzej teraz wiedzieli niewątpliwie, że zbliżającym się do nich zwierzęciem był żubr, aż nadto wyraźnie odzywało się głuche uderzenie twardych jego kopyt o ziemię. Był to zapewne przewodnik całego stada, którego pochod zwiastował ów tętent oddalony.

Oczekiwanie nie trwało długo, wkrótce z gęstwiny leśnej wynurzył się żubr okazały. Postępował wolno, poważnie, już się nie śpieszył, gdyż prawdopodobnie powracał od słonej polanki, gdzie się należycie uraczył ulubionym przysmakiem. Na pierwszy rzut oka zwierzę wyglądał groźnie, łeb ogromny, kosmyk kędzierzawych włosów, spadający mu na czoło, grzywa nastroszona, wszystko to nadawało mu pozór wojowniczy. Bo też żubr nie ma wcale łagodnego i zgodnego usposobienia, gdyby nasi chłopcy spróbowali byli

stanąć na jego drodze, byłby się niezawodnie rzucił na nich. Lecz oni roztropnie trzymali się na uboczu, chociaż nie przelekli się wcale żubra. Myśliwi w ogóle nie wiele sobie robią z tego zwierzęcia, które rzadko kiedy prawdziwie niebezpiecznym bywa; łatwo bardzo dać sobie z niem radę.

(d. c. n.)

## SZARADA.

(Od Gołąbki pocztowej dla Iskierki lubelskiej).

*Pierwsze drugie w każdej dobie,  
Czy zamknięte czy otwarte,  
Masz zawsze przy sobie.  
Przy sobie także masz trzecie czwarte,  
Ale z tych dwojga nigdy żadnego  
Nie ujrzysz swego własnego.  
Wszystko jest niedaleko, w koło cię otacza,  
Samą swą nazwą zbliżenie oznacza.*

## ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(Od Datury dla Heliotropa).

Z następujących zgłosek: al — ar — buch — buz — ciec — chta — cy — da — deks — dya — ha — ir — ja — kin — ko — kuck — kya — lan — nan — ni — no — no — o — oj — ra — ran — sa — sen — tów — wa — wer — wil — ułożyć wyrazy: 1. Wyspa azjatycka. 2. Wyspa należąca do Danii. 3. Miasto w Chinach. 4. Miasto na pograniczu Chin. 5. Osoba najbliższa każdemu człowiekowi. 6. Przyrząd do palenia. 7. Miasto w Niemczech. 8. Owoc. 9. Rzeka wpadająca do Wisły. 10. Miasto w Afryce. 11. Miasto w Europie. 12. Miasto w Europie. 13. Zbiór praw. 14. Miasto w Syberii. 15. Wyspa europejska.

Pierwsze i końcowe litery, od góry do dołu, utworzą imię i nazwisko znakomitego poety, złożone spójnikiem z imieniem i nazwiskiem bohaterskiej niewiasty.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

### Zadania konikowego:

W tych wyrazach się zamyka mądrość tego świata: kochaj każdego jak brata.

(Słowa J. I. Kraszewskiego).

### Łamigłówniki zgłoskowe:

AleP — DyabeŁ — AmU — MagdeburG.  
A d a m P ł u g.

### Tajemniczój głoski:

Tarka — baszta — bratki — futra — karta — kasta — kotły — koszt — kurta — list — Litwa — łatwa — łatka — Marta — maszt — mirt — nurt — osty — topór — topole — ptaki — Porta — prosto — trawa — Troki — stara — ster — Styrya — stoki — sztuka — tratwa — turban — Warta — twory — wtorek — żart.

Dodaje się litera T.

**TREŚĆ:** Pracownia pana Adama, pogadanka naukowa, p. M. J. Z. — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Storczyki zamorskie, (z drzew.). — Walka z orłem (z drzew.). — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.). — Łamigłówniki i rozwiązania. **Dodatek:** Nieposłuszny Kosmatek (z drzew.). — Cichy chłopczynna, wiersz p. M. Ziel. — Waluś Świderek, p. Z. Morawską, dokończenie. — Łamigłównka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dzieci Klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.



## Nieposłuszny Kosmatek.

Kosmatek był to lis młody, który już wprawdzie wyszedł z dzieciństwa, lecz bardzo na swój wiek niewiele miał rozumu. Stara pani Kosmacina, matka jego, musiała często strofować nieroztropnego liska, bo ciągle różne głupstwa robił. Matka bardzo starannie i troskliwie wykładała mu sztukę polowania, uczyła, jak tropić ptaszki, jak je podstępami rozmaitego rodzaju zwabiać należy, jak chwycić zręcznie, żeby nie uciekły. Ale Kosmatek najczęściej płoszył zwierzynę, bo nie miał cier-

rozsądku i zastanowienia. Poczekaj do lata, teraz, o wczesnej wiosnie, drogi są najgorsze, deszcze często padają, strumienie przybierają znacznie, to do podróży najgorsza pora. Za parę miesięcy będzie lepiej.

— Kiedyż bo właśnie teraz mi przyszła ochota do podróży — odpowiedział Kosmatek. — Nie jestem przecież dzieckiem, moi przyjaciele śmieją się ze mnie, że ciągle się trzymam fartuszka matusi.

Westchnęła Kosmacina, nic już nie powiedziała, a młody lisek niezwłocznie wyruszył w świat. Biegł lasem przez dzień cały, nakoniec wy dostał się na odkry-



Nieposłuszny Kosmatek.

pliwości, a potem śmiał się, gdy umknęła, bo wiedział, że mateczka zawsze się nad nim rozczuli i da mu coś ze swej spiżarni.

Bo też trzeba przyznać, że pani Kosmacina, jakkolwiek rozsądna i doświadczona lisica, psuła jednak trochę swojego gagatka. Straciła biedaczka kilkoro dzieci, dwoje psy rozszarpały, jednego syna, wielkich nadziei młodzieńca, schwycił w sidła myśliwy i trzymał na łańcuszku razem z psami, reszta z różnych wypadków poginęła. Biedna matka na ostatniego Kosmatka przelała wszystkie uczucia tkliwego swego serca.

— Moja mateczko — rzekł pewnego rana nasz Kosmatek — tak tu nudno siedzieć w tym lesie, nigdy się nic nowego nie widzi, muszę pójść trochę w świat, oddawna już mam ochotę dalszą podróż odbyć. Wszak mówił wujaszek, że podróże kształcą młodzież.

— Prawda — odparła z westchnieniem pani Kosmacina — tylko że ty, mój synu, nie masz jeszcze dość

te pola i bardzo mu się nowość podobała. Nieraz wprawdzie ujrzał z daleka mieszkania ludzkie, słyszał szczekanie psów, lecz jakoś nie spotkała go żadna niemiła przyгода. Na nocleg umieścił się dość wygodnie w głębokim rowie i zasnął snem twardym, bo też całodzienna podróż go zmęczyła.

Nad ranem dopiero przebudził go plusk ulewnego deszczu, przemokły był cały, chociaż przez futro gęste nie czuł prawie wilgoci. Wylazł jednakże z rowu, bo tyle tam się wody nalało, że cały się w niej nurzał z głową. Pobiegł żwawo dalej, lecz okolica była strasznie bagnista, wkrótce zaczął nasz Kosmatek grzęznąć w błocie coraz więcej. Probował zawrócić w inną stronę, a tu gdzie się nie obrócił, było toż samo i gorzej jeszcze.

Wkrótce ujrzał się biedny wędrowiec dokoła otoczony wodą, gdyż nie zauważył wezbranego strumienia, który z szumem pędził naprzeciw niemu i zniemacka go

porwał na fale. O mało nie utonął Kosmatek, na szczęście spostrzegł dużą kłodę drzewną, płynącą z prądem, wskoczył na nią chyżo i uratował życie. Ale nieborak od rana nic nie jadł, a tu nie było nawet nadziei wyszukania jakiegokolwiek pożywienia. Byłby Kosmatek nie pogardził i najmizerniejszą żabką, ale niestety! żab nawet nie było w tej wodzie, która pędziła rozhukana po polach i łąkach.

I wyobraźcie sobie, że lisek trzy dni i trzy nocy o głodzie musiał przesiedzieć na tym pniu nagim; z rozpaczny ogryzał korę, ale mu wcale nie smakowała. Dopiero gdy woda opadła dnia czwartego, Kosmatek zbiedzony, wymizerowany, zebrał sił ostatki i czempredziej powędrował z powrotem do domu. Pani Kosmacina nie poznała w pierwszej chwili rodzzonego syna, tak okropnie wyglądał po tej nieszczęsnej przygodzie.

— Co się z tobą stało! — zawołała, załamując przednie łapki, a tylne trzepiąc kosmatym ogonem — ja to przecież przewidywałam, ostrzegałam...

— Nie gderz, matusiu, tylko jeść dawaj copredziej — przerwał synalek — głodny jestem taki, że ciebiebym pożarł.

Pani Kosmacina pobiegła pędem do spiżarni, którą zawsze miała porządnie zaopatrzoną, była bowiem bardzo skrzętną gospodynią. Znalazły się dwie tłuste kuropatwy, drobnego ptactwa trochę, a nawet wyborna kura domowa, którą dowcipnej Kosmacinie udało się zeszlęj nocy upolować na pobliskim folwarku.

Zgłodniały wędrowiec pożarł wszystko tak łapczywie, że niestrawności dostał i biedna Kosmacina musiała go jeszcze kurować różnemi ziołami leśnemi, bo znała się trochę na medycynie. Gdy zaś lekarstwa domowe nie pomogły, sprowadziła doktora, starego lisa doświadczonego i ten Kosmatka skazał na długą dyetę, która go nakoniec uleczyła. Ale tak stracił ochotę do podróży, że już potem i latem wolał siedzieć z matką w lesie.

*Ciocia Jania.*

## CICHY CHŁOPCZYNA.

Muńdzio był chłopczyzna cichy,  
Najczęściej zajęty bardzo,  
Nie nęcą go gry i śmiechy,  
To też chłopcy Muńdziem gardzą,

Powiadają: — To niezdara,  
Ten krewniaczek, ten braciszek,  
Jemu miłsza książka stara,  
Dobra ledwo że dla myszek,

Niż gonitwa najpiękniejsza,  
Mocowanie, gimnastyka,  
Niż ślizgawka najpyszniejsza,  
Miłsza nawet od konika!..

Mali byli to chłopczyki,  
Którzy temu się dziwili,  
Że ten Muńdzio „taki dziki”,  
Tylko czyta każdą chwilę.

Próżno tatka jeden, drugi,  
(Bo gromadka krewnych liczna),  
Mówią, że choć ma zasługi  
Gimnastyki wprawa śliczna,

Przecież względ mieć przynależy  
Wszystkim ludziom na książeczki,  
A naukę w umysł świeży  
Wpajać winne są dziateczki.

Mali krewni wciąż się śmieli,  
A tymczasem bieżą lata;  
Aż raz rankiem po niedzieli  
Pojechano na kraj świata:

Wio! do miasta, gdzie jest szkoła!..  
I wnet wszystko się zmieniło  
Z chłopczykami, wszystko zgoła,  
Tak jakby się dzieciom śniło:

Profesorzy, ludzie starzy,  
Bardzo Muńdzia polubili,  
Że się nigdy nie poswarzy,  
Nigdy w lekcyi nie pomyli.

Bo Muńdziowi też prawdziwie  
Łatwo teraz szła nauka,  
Gdy już przywykł na jej niwie  
Szukać ziarenek; więc wciąż szuka,

Jak ptaszyna jaka mała,  
Na rodzinnej łączce swojej:  
W książce Muńdzia rozkosz cała;  
Egzaminów się nie boi,

Odpowiada na pytania  
Lepiej, niżli rówieśniki,  
A przykłady i zadania  
Pysznie robi „Muńdzio dziki”.

Wtedy wreszcie krewni mali  
Przypomnieli słowa tatki,  
I z pokorą to uznali,  
Że choć dzielność jest dar rzadki,

Choć jest pyszną gimnastyka,  
Która dzielność tę umacnia,  
Przecież książka, prócz konika,  
Zda się także, bo uzacnia,

I rozumu uczy ludzi.

Muńdzio dobry i kochany  
Nieraz dobrze się utrudzi,  
Zanim przykład zawikłany  
Towarzyszom wytłómaczy,  
A promocyje i nagrody  
Zawsze bierze Muńdzio młody,  
Bo też zawsze się odznaczy.

*M. Ziel.*

## WALUŚ ŚWIDEREK.

przez  
Z. MORAWSKĄ.

(Dokończenie).

Na drugi dzień jeszcze ciemno było, już chłopcy rażno brali się do roboty; chciał im Waluś pomagać, ale żaden pomocy nie przyjął, bo każdy miał wyznaczoną

robotę i musiał ją spełnić. Wkrótce też przyszedł i majster, sam jął się pracy, a czeladź również przy swojej stanęła. I Walusiowi dał robotę, kazał mu z nagromadzonych porzniętych kawałków drzewa wybrać z każdego gatunku i osobno ułożyć po dwadzieścia kawałków. Tymczasem majster zanucił pieśń poranną, a wszyscy dołączyli swe głosy, rażno pracując. Walus również pracował, lecz nie bardzo dokładnie robotę swoją wykonał, pomieszał drzewo sosnowe z olszowem i nie równo poukładał.

— Nie tęgi z ciebie robotnik — rzekł majster.

Chłopiec się zaczerwienił, ale pomny na głód wczorajszy, z pokorą pocałował majstra w rękę i powiedział, że postara się na drugi raz lepiej zrobić, byleby go tylko ze stolarni nie wypędzono.

Majster uśmiechnął się nieznacznie, a po chwili się odezwał:

— Nie myśl, mój kochany, żebym cię tutaj bez pozwolenia brata zostawił; napisz do niego, niech przyjedzie, rozpatrzy się, opowie mi coś wart, a jeżeli się zgodzi na to, to cię na naukę przyjmę. A czytać umiesz? — zapytał nagle.

— Nie — odpowiedział cichutko Walus.

— No, to jeżeli zostaniesz, przedewszystkiem wiedz o tem, że w niedzielę i święto nie wolno ci będzie bąków zbijać, tylko musisz pójść do szkoły, gdzie się nauczysz czytać, pisać, rysunków i wielu jeszcze pożytecznych rzeczy.

Walus o mało do nóg nie padł majstrowi, tak go ta obietnica ucieszyła, bo chociaż był próżniak, ale książki go bardzo zaciekawiały i miał wielką ochotę choćby drukowanego nauczyć się czytać, a tu mu jeszcze obiecywano pisanie i rysunki! Majster, tak jak powiedział, napisał zaraz do Antoniego Świderka, opiekuna i brata Walusia. Ten wkrótce przybył, dziękując z wdzięcznością majstrowi za dobrą opiekę nad chłopcem w nieznanem i wielkiem mieście. Gniewał się jednak na Walusia, że potajemnie dom jego opuścił, i kazał mu się zabierać do powrotu. Chciał mu nawet po ojcowsku przetrzepać skórę za taką samowolę, ale Walus tak pokornie przeproszał, tak obiecywał poprawę i pracowitość, że pocziwy brat, porozumiawszy się z majstrem dał pokój trzepacze i chłopca u majstra postanowił zostawić. Wiedział bowiem, że Walus przy większym warsztacie i w niedzielnej szkole prędzej się czegoś nauczy.

— A jednak bez kary za to, że uciekł bez wiedzy brata, nie można chłopca zostawić — rzekł majster.

Walus się zaczerwienił.

— On to i w jedzeniu wybredny i z bratową się o skwarki w kluskach kłócił — dodał majster, jakby do siebie, a potem zawołał do swojej czeladzi:

— No, chłopcy, radźcie, jak nowoprzybyłego ukarać, a razem łakomstwa oduczyć?

Chwilkę słychać było tylko cichy śmiech i szept w warsztacie, a potem jeden z chłopców, imieniem Janek, wysunął się i rzekł:

— A to, proszę pana majstra, niechaj Walek przez miesiąc wyławia wszystkie sperki z kaszy i klusek rano i wieczór ze swojej porcy i nam je oddaje.

— Brawo, Janek! — zawołałi wszyscy.

— Dobrze! a pamiętajcie, żeby kłótni żadnej przy tem nie było, bo ja tego nie lubię! — rzekł majster. — A także i próżniactwa! dodał — zwracając się do Walka.

— Już ja nigdy próżnować nie będę, wszystkiego się chętnie będę uczył, byleby się tylko brat na mnie nie gniewał, a pan majster zostawił u siebie, bo mi się tu bardzo podobało — rzekł Walus, całując brata i majstra w ręce.

— A sperki będziesz nam oddawał? — zapytał któryś z chłopców.

— I sperki oddam — rzekł, przełykając ślinkę,

— A teraz do roboty! — zawołał majster, i spojrzawszy, czy każdy zajęty pracą, wyszedł pogawędzić z panem Antonim. Walus tymczasem westchnął pociachu, prosząc Boga, aby mu dał w dobrem wytrwanie, a potem pilnie słuchał, co mu starszy czeladnik rozpowiadał, ucząc, jak ma się brać do roboty.

Z początku brała go nieraz ochota do próżniactwa, miał nawet chęć znów do brata powrócić, ale jak sobie przypomniał ów wieczór, gdy w nieznanem mieście tułał się głodny, pytając sam siebie: „Co ja pocznę?” zabierał się do pracy i złą myśl od siebie odpędzał.

Powoli z coraz większem zamiłowaniem pracował, rozświecało mu się też w głowie, bo w szkole niedzielnej przez zimę czytać się nauczył.

Że zaś przyrzeczone sperki sam dobrowolnie oddawał bez przypomnienia, był usłużny dla starszej czeladzi, a chętny do zabawy z towarzyszami, polubiono go w warsztacie.

Dziś już się wyzwolił na czeladnika, piękny grosz zarabia, opowiada jednakże swoją przygodę, dodając:

— Pan Bóg mi jakoś dopomógł, bom szczerze żałowałem winy i przyrzekałem poprawę; ale nikomu bym nie życzył, żeby się znalazł sam w nieznanem mieście, nie wiedząc, co z sobą począć, bo nie każdemu Bóg zesłał tak dobrego opiekuna, jak nasz pan majster.

#### ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA (R. A.)

	R	S	
S			A
A			M
	A	D	

Zapełnić kropki literami, aby odczytać cztery wyrazy: 1. Rzecz przynosząca czasem pożytek, a czasem i szkodę. 2. Rodzaj znaku. 3. Nazwa mieszkania. 4. Imię.

#### ROZWIĄZANIE DO N-ru 6-go.

Szarady:

Ser — ce.

#### Skrzynka do listów.

Krasnolicoy, Niezapominajce z Polesia, Lobelii, Mrówce z nad Warty, Halse z Litwy, Małej Laszce, Topolce z nad Kodemy, dawnym, miłym korespondentkom, tym razem przesyłamy tylko ser-

deczne pozdrowienia, bo nadeszło mnóstwo liścików od nowych czytelniczek, którym się pierwszeństwo należy. 5 rs. przysłane przez Topolkę oddano biednym dzieciom.

**Kotwica, Rezedka, Wołyniak i Świderek, Ernestynka P. Mania B Wład. St. R. i H. z Konina, Narcyz,** nadesłali trafne rozwiązania łamigłówek. Nie, szanowny Narcyzie, nagrody dają się tylko za odpowiedzi na zadania konkursowe. Ernestynka może wziąć pseudonym Gwiazdki lub Jaskółki z Rzeszowa.

**Pegaz Skrzydlaty, Kameleon, Sasanka i Gwoździak, Malarz nadsekwański, Lelum Polelum, Czyżyk, Leliwianka, Masław,** muszą czekać cierpliwie, łamigłówki ich będą zamieszczone, jeżeli się okażą bez omyłek.

**Anusia Borzobohatą** może się rzeczywiście nazywać jaka panienska, gdyż nazwisko to nie wygasło, niewłaściwe więc jest na pseudonym. Łatwo jest wybrać inny z tej samej powieści. Dwa ruble dano biednej matce. Wierszyk zrzęcznie ułożony, ale jeszcze nie do druku.

**Brzydotka z nad Tamizy** mogłaby niejedną tutejszą panienkę zawstydić, tak poprawną polszczyzną pisze swoje miłe liściki, chociaż jest polyglotką i nauki odbywa we wszystkich europejskich językach. Prosimy bardzo o szczegółowe wiadomości o tych różnych szkołach.

**Różyczka biała z Wołynia** wielką nam sprawi przyjemność nadesłaniem fotografii, upominek to dla nas najmiłszy.

**Teśknotę** prosimy bardzo, aby nie poprzestała na jednym liściku, lecz bliżej nam się poznać dała. Gołąbka Pocztowa wybrała ten pseudonym, jako symbol korespondencji.

**Niezapominajka z nad Łydyni** prosi o Numer zagubiony, a nie przysłała adresu. Oj, roztargnienie!

**Kamyczek z nad Czarnego mcrza** odczyta wkrótce sprawozdanie z konkursu i przekona się, że napisanie odpowiedzi nie jest tak trudne, jak mu się zdaje.

**Żabka z nad Muchawki** bardzo porządnie i wyraźnie liścik napisała, chętnie ją zaliczamy do stałych korespondentek.

**El-Ka,** niesłusznie wątpliwość redakcyi uważa za „grubą” omyłkę, i do błędów pisowni ją porównywa.

**Redaktorke i Wydawczynią** prosimy, ażeby mniej dziwaczne wybrały pseudonymy. Konkursa nasze nie są przeznaczone dla samych mądrych główek, lecz do ich rozwijania służą.

**Stokrotkę i Wisienkę z nad Bystrzycy** witamy serdecznie w gronie naszych korespondentek. Cyganeczka niech sobie inny pseudonym wybierze, bo ten do dawniejszej korespondentki należy. Pomiędzy kochanymi dziewczętkami naszymi są i staruszki dorosłe, i sześcioltnie dzieci, Wisienka nie jest wcale najmłodszą.

**Mamut** zaciekał nas swoim pseudonymem. Co może taki młodzieńki Mamut mieć wspólnego z przedpotopowym swym imieniem?

**Sambor** za parę lat sam zrozumie, że podobne wierszyki mogą być ofiarowane w ozdobnym rękopisie, ale na druk jeszcze nie zasługują.

**Myśliwiec** zdaniem naszym więcej skorzysta z geografii O. Reclus. „Ziemia w krajobrazach”, którą teraz w niższej cenie nabyć można.

**Stokrotka z Mazowieckich lasów** nie powinna się opóźniać z odpowiedzią na zadanie konkursowe, bo latka biegną prędko.

**Kamelia biała, czy Gałązka paproci,** oba pseudonymy są bardzo dobre.

**Lewkonię** odesłano powtórnie zatracone na poczcie numera. Upewniamy kochaną Lewkonią, że proste wyrazy, z serca pochodzące, są najmiłsze dla nas. Biednym sierotkom nikt straty nie nagrodzi, lecz nie będą zapewne zupełnie opuszczone, skoro najbliższa rodzina tyle żywi dla nich współczucia.

**Stokrotka z nad Pilicy** bardzo nas ucieszyła swym liścikiem; miło jest pracować dla czytelników kochanych, tak umiających cenić usiłowania nasze.

**Promyczek** otrzymał zapewne wysłany powtórnie N-r. Uradowało nas doniesienie, że próba z bumerangiem się udała. P. Adam chętnie gawędzić będzie, skoro kochani czytelnicy go słuchają z zajęciem.

**Jedlinkę** upewniamy, że serdeczne wyrazy, czy podczas Świąt, czy w ciągu roku, z jednakową wdzięcznością są odczytywane, a i datek dla ubogich zawsze się przyda.

**Bajdurka z Ludwińskiego podwórka** na swój wiek ślicznie pisze i niepotrzebnie tak długo z tem zwlekała.

**Straszny Mróz** tak przeraził Gołąbkę swoim pseudonymem, że w łapki chuchała z pół godziny.

**Różyczce Chińskięj** i innym panienom, które do niej pisały, Gołąbka dziękuje serdecznie, sama odpisze niezadługo.

**Cyganeczka z nad Wisły,** równie jak i Westalka, są tak serdecznie kochane, że to co piszą jest chlebem oddanym, czemużbyśmy wierzyć im nie mieli? Takie serduszka pocziwie nie mogą znać obłudy. Autorce „Księżniczki” pokażemy liścik, pewnie jej także przyjemność sprawi.

**Niezapominajce z nad Warty** możemy przesłać wierszyk „W Izbie piwnicznej” kosztuje z opłatą poczty 25 kop.

**Staszka z Podola** niezawodnie z czasem urzeczywistni piękne i szlachetne pragnienia. Liścik odczytaliśmy z zajęciem i współczuciem wielkiem.

Kochane moje Filaretko, Dewajtis, Niezabudko Czeska, i Stokrotko z nad Stochodu! Dziękuję wam, dziękuję... nie wiem ile razy mam powtarzać ten wyraz! tak jestem szczęśliwa z waszję dla mnie życzliwości! Powiem ci, Filaretko droga, że mię bardzo zaciekałaś, jak możesz znać moje imię i wiek, będąc tegoroczną czytelniczką Wieczorów? Jest w tem jakaś tajemnica!... którą mi wyjawisz, nieprawdaz? bo jestem ogromnie ciekawą. Ciebie, miła Dewajtis, witam z radością, jako nową siostrzyczkę, bo jeszcześmy z sobą nie korespondowały, choć już od pewnego czasu widzę twój pseudonym w W. R. Donoszę zatem, że nigdy z Francji nie wyjeżdżała. Dziękuję jeszcze więcej tobie, najdroższa Niezabudko, za twoje życzenie! o jakbym chciała, żeby się spełniło jaknajrychlej! Bardzo mi przyjemnie wiedzieć, luba Stokrotko, że ci moja odpowiedź radość sprawiła. Myśl o mnie co chcesz, zawsze powiem, że jesteście za dobre i nieskończenie miłe, czując dla mnie sympatyę. Ściskam was wszystkie czule i prędko, bo mój list taki długi! Gdyby, broń Boże, Redakcyja nie chciała go wydrukować! Jaskółka z nad Sekwany.

Kochani moi, Pif Paf i Puf! Czy lubicie strzelać, żeście obrali takie pseudonymy? Ja bardzo tę rozrywkę lubię, ale nie mam własnej strzelby. Mam lat 12, mieszkam na wsi, uczę się w domu. Odpiszcie mi jaknajprędzej. Wasz Myśliwiec.

Drogi: Topolko z nad Kodemy, Stokrotko z nad Stochodu i Konwalijko różowa! O! jakżem wam wdzięczną za wasze lube liściki, jakże się nimi ucieszyłam, i zaraz zasiadam, by wam, moje najmiłsze, odpowiedzieć. Topolce drogiej donoszę, że nie jestem z pewnością jej krewną, mam imię Wanda B. mam lat 12, uczę się w domu. Zazdroszczę ci, moja Stokrotko, że mieszkasz na wsi, gdyż ją bardzo lubię, a nigdy nie byłam na wsi. Tobie, Konwalijko, dziękuję za prędką odpowiedź. Polecając się waszjęj pamięci, wasza wdzięczna Lewkonja.

Drogi Kukułko z nad Sanny i Biedronko Warszawska! Ponieważ obu wam winnam odpowiedź, a chciałabym, żebyście ją prędkiej dostały, więc piszę do was razem. Napiszcie mi, kochane, która z powiastek w W. R. najwięcej wam się podoba? mnie „Tajemnica Starego Klasztoru” i „W Imię Koleżeństwa”. Proszę was, moje drogie, o prędką odpowiedź. Góralka.

Droga moja Jesieni! Nie uwierzysz, moja złota, z jaką radością powitałam twój liścik. Do naszego „sympatycznego grona staruszek” (jak się pochlebnie wyraziłaś, filutko) z radością cię przyjmuję, a że Wiochna i Sarenka cię też przyjmą, jestem pewna. A więc nie przerywajmy miłej korespondencyi, droga Jesieni, i piśnijmy do siebie jaknajczęściej. Całuję cię z całych moich sił, twoja Cyganeczka z nad Wisły.